



## TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



**JÓZEFA KAMOCKA.**

Dnia 20 b. m. obchodzono jubileusz trzydziestoletniej pracy zasłużonej nauczycielki i autorki dla młodzieży, Józefy Kamockiej. Lat trzydzieści! nikt pewnie z młodych czytelników nie zdaje sobie sprawy, co to jest praca przez lat tyle. Ile to trosk, uczuć i myśli przejdzie przez piersi tych, którzy swą pracę dają ogółowi i żywym słowem przekazują swe wiadomości młodocianym umysłom. Boć to nietylko uczyć innych, ale i siebie uczyć wciąż trzeba, aby podawać zawsze naukę miłą i nie nużącą.

P. Józefa Kamocka rozpoczęła swój zawód jako nauczycielka rządowego gimnazjum r. 1862. Było to pierwsze jej wystąpienie na szerszym polu; poprzednio bowiem już

pracowała, dając lekcyje to prywatne, to na pensjach; obok zaś pracy nauczycielskiej nie wypuszczała pióra z ręki. Prace jej literackie znane są w każdym domu, a ile jest ust wymawiających wyrazy modlitwy, tyle je powtarza z książek ułożonych przez nią. Wydała też gramatykę języka polskiego, stylistykę oraz zasady pisowni. Ta ostatnia książka razem z książką do nabożeństwa znajduje się prawie w każdym domu i jest doskonałym podręcznikiem do nauki ortografii. Oprócz tego napisała katechizm dla młodzieży, oraz powiastki dla dzieci. Ież to prac jej, jest rozrzuconych po rozmaitych czasopismach tak dla dojrzałych umysłów jako i dla młodzieży. I dziś jeszcze p. Kamocka i nie zaprzestaje swej pożytecznej pracy.

Niechajże ta praca jak najdłużej prowadzi młode pokolenie i będzie dla niego godnym uznania wzorem.

*Z. Morawska.*

## Jak ludzie istotną postać ziemi poznali?

Skreślił

**Stanisław Kramsztyk.**

II.

Kto się uczył geometrii, słyszał już zapewne o Pytagoresie; filozof ten bowiem, który żył na pięćset przeszło lat przed Chrystusem, odkrył jedno sławne twierdzenie, dobrze dziś znane uczniom w szkołach. Jak opowiadają, z odkrycia tego twierdzenia tak był uradowany, że bogom sto wołów na ofiarę poświęcił; znam zaś chłopców, którzy chcieliby dwieście wołów ofiarować, byleby twierdzenie Pytagorasa nie istniało. Uczniowie bowiem uważają twierdzenie to za bardzo trudne i nieraz dobrze się nad niem namozolić muszą; skoro zaś samo zrozumienie i nauczenie się tego twierdzenia wydaje się nam tak trudnym, przyznać musimy, że Pytagoras, który

je odkrył w czasach tak dawnych, genialnym był człowiekiem. Otóż znakomity ten filozof nauczał też już, że ziemia jest kulistą. Rozumował zaś on w taki sposób: Są bryły różnych postaci — sześciany, graniastosłupy, ostrosłupy, walce, stożki i mnóstwo innych, z nich wszystkichiż wszakże kula jest najdoskonalszą; ponieważ zaś ziemi przypadać musi postać najdoskonalsza, ziemia przeto jest bryłą kulistą.

Rozumowaniem tem wszakże Pytagoras niewielu tylko rodaków swoich o kulistości ziemi przekonać zdołał, a dziś nikt chyba z tego względu oburzać się na nich nie będzie. Bo najpierw nie wiemy, dlaczego kulę uważać mamy za bryłę najdoskonalszą, a powtóre dlaczegoż koniecznie ziemia posiadać ma taką formę najdoskonalszą. W dawnych tych wszakże czasach, gdy nauka dopiero w pierwszych zawiązkach istniała, filozofowie nie wiedzieli jeszcze, jak przyrodę badać należy, nie pojmowali, że przedewszystkiem trzeba się dokoła siebie rozglądać, jasno patrzeć na rzeczy, dokładnie obserwować świat nas otaczający; sądzili oni, że można się obejść bez spostrzeżeń, bez obserwacji, że przez samo rozumowanie, przez filozofowanie, jak mówiuw, można świat i zachodzące w nim zjawiska. W takim wszakże rozumowaniu, które się nie wspiera na należytej i dokładnej obserwacji, ludzie nawet bardzo bystrego umysłu łatwo błędzić mogą; stąd też poszło, że różni filozofowie greccy nieraz bardzo dziwaczne rojenia o postaci ziemi snuli. Jeden sądził, że jest ona bryłą sześcienną; innemu wydało się, że ma postać wydrążoną, jakby nieckowatą lub czołenkowatą; niektórzy znów przypisywali jej formę walcowatą.

Zwolna jednak rozwinęła się w Grecyi nauka istotna, rzetelna; uczeni nie poprzestawali już na pustem filozofowaniu, zajęli się matematyką, astronomią, fizyką, historią naturalną, a wtedy też dopiero poznano stanowczo, że ziemia jest bryłą kulistą. Nie był to już wtedy pusty i nieuzasadniony domysł, jak za czasów Pytagoresa; wielcy bowiem uczeni greccy, a zwłaszcza Arystoteles, Archimedes, najznakomitszy w Grecyi matematyk i fizyk, i Ptolemeusz, sławny astronom, z dostrzeżeń i z obserwacji zebrali dowody świadczące, że ziemia mieć musi postać kulistą. Dowody te są dziś wszystkim dobrze znane, od nich bowiem rozpoczyna się pospolicie nauka geografii; przyznacie jednak znowu, że ludzie, którzy dowodów tych nie nauczyli się od innych ale sami je zebrali, złożyli tem dowód wielkiej potęgi swego umysłu, zasłużyli zarówno na nasz podziw jak i na wdzięczną pamięć.

Jakżeż więc uczeni ci, którzy przecież nie objechali ziemi dokoła i którzy niewielką tylko częścią powierzchni jej znali, jakżeż wywnioskować mogli, że cała bryła ziemiska ma postać kuli, gdzież kulistości tej dowody znaleźli?

Otóż znaleźli je przedewszystkiem nie na ziemi samej, ale w gwiazdach. Dowody przekonywające wypisane są ognistemi głoskami na sklepieniu niebieskiem, a aby je dobrze zrozumieć, odwołamy się do drobnych robaczków, które nam tu do porównania posłużą.

Wyobraźmy sobie, że w pokoju naszym, na suficie, na ścianach, na podłodze, wypisane są gęsto znaki rozmaite, głoski, dajmy, poprostu. Wyobraźmy sobie dalej, że na ćwiartce papieru, na mniejszym jeszcze jego skrawku, umieszczonym w pośrodku tego pokoju, przebywają drobniutkie robaczki, które po otoczeniu swoim uważnie rozglądać się umieją. Otóż gdy robaczki te patrzą dokoła siebie, wszystkie widzą też same znaki, wyczytują też same głoski wypisane na suficie i na górnych częściach ścian, ale zgoła nie znają głosek znajdujących się na dolnych częściach tychże ścian lub na podłodze; a chociaż który z tych robaczków żądzą odkryć trawiony, wędruje po swojej kartce papieru, choć odbywa dalekie podróże z jednego jej krańca na drugi, nic nowego nie dostrzeże, nie odkryje żadnej zgoła głoski, którejby nie widział z własnego swego mieszkania, choćby całe życie przepędził w jednym i temże miejscu i nie wałęsał się po całym swoim papierze. A nawet ponieważ, jak powiedzieliśmy, skrawek ten papieru bardzo jest drobny, robaczek, ilekroć głowę w górę wzniesie, zawsze tuż ponad sobą ujrzy jedną i tę samą głoskę.

Zgoła wszakże inaczej dział się będzie, jeżeli robaczki nasze zamieszkują już nie płaską kartkę papieru, ale przebywają na pomarańczy, na jabłku, na mniejszej wreszcie kulce, choćby na orzechu lub na ziarnku grochu. Teraz każdy z nich inną ogląda stronę pokoju: jeden rozczytuje głoski na suficie, inny na ścianie tej lub owej, a inny znów widzi znaki rozmieszczone na podłodze; każdy nad swoją głową inną dostrzeże głoskę, a gdy który z nich w podróż się wybierze, wciąż nowe, nieznanie odsłaniać się przed nim będą widoki. Jeżeli z pierwotnego swego mieszkania widział sufit, to w wędrownie ukaże mu się okno, następnie podłoga, a za powrotem sąsiadom swym, co w domu spokojnie żywot pędzą, opowie, ile to nowych znaków odkrył, ile nieznanych im głosek wyczytał.

Ale w tej izbie olbrzymiej, która nas otacza, w tej przestrzeni niezmierzonej, w tym wszechświecie całym, ziemia nasza równie maleńkim jest ledwie pyłkiem, okruchem drobniejszym jeszcze, aniżeli skrawek papieru względnie do wymiarów pokoju naszego. I ponad nami, dokoła nas rozrzucone są w tej przestrzeni liczne znaki, gwiazdki złote, które ku nam mrugają tak osobliwie, jakby nas do znajomości z sobą zachęcić chciały. Gdyby więc ziemia płaską była jak skrawek papieru, wszyscy jej mieszkańcy, wszyscy ludzie widzieliby jedne i też same gwiazdy; a ponieważ nadto, jak powiedzieliśmy, ziemia w porównaniu do odległości gwiazd jest drobiazgiem nieznacznym, punkcikiem zaledwie, wszyscy mielibyśmy nad głową swoją jeden i ten sam punkt nieba, czyli jeden zenit. Zapytajmy jednak żeglarzy, co zwiedzali dalekie kraje południowe: Przylądek Dobrej Nadziei, Australię lub Amerykę południową, cóż nam powiedzą? Oto w okolicach tamtych nie można już widzieć tych gwiazdozbiorów, które my tak dobrze znamy, Niedźwiedzicy Małej i Wielkiej, przedstawiających postać wozów, ani sąsiadującej z niemi Kasyopei, przypominającej zupełnie głoskę W., ani wielu innych gwiazd, co na niebie naszym błyszczą; natomiast zaś mieszkańcy tamtych okolic, podróżnicy, co tam przybywają, znają inne zupełnie gwiazdy, inne konstelacje, o których my z opowiadań ich tylko wiemy, jak Krzyż południowy, Koronę południową, Okręt Argo i inne. Przy podróżach tych nadto, rozpatrując położenie znanych nam gwiazd, poznajemy łatwo, że zarazem zmienia się i nasz zenit, że w każdym miejscu na ziemi inny punkt nieba nad głowę naszą przypada.

(d. c. n.)

## DO ZIEMI NIEZNANEJ

przed czterystu laty.

(Dalszy ciąg).

Forteczka była zrujnowaną, ze szczętem, z domów osadników pozostały tylko zgłiszcza i gruzy... Kolumb doradził osadnikom, aby w razie jakiego napadu dzikich, złoto które zdołają zebrać, oraz wszelkie cenniejsze przedmioty i sprzęty wrzucili w głęboki loch, osłonięty sztucznie, niewidocznem przykryciem.

Teraz kazał odrzucić to przykrycie, jeden z majtków spuścił się do tego lochu, i nic tam nie znalazł.

Rozkopano ziemię, która wydawała się świeżo poruszoną. Pod zieloną murawą leżało obok siebie siedmiu trupów... Ciała już były zepsute, po ubraniu tylko poznano hiszpanów. Pogrzebano ich po chrześcijańsku, a wraz z licznym orszakiem pojawił się kacyk Guacanagari i z płaczem jął opowiadać, że ani on, ani jego poddani nie są sprawcami nieszczęścia, które białych jego przyjaciół spotkało. Na przeciwnym krańcu Haiti rozciągają się posiadłości kacyka Caonabo, który ma przydomek „pana złotego domu”, bo rzeczywiście na jego gruntach złoto znajduje się w wielkiej obfitości. Skoro kilkunastu białych ludzi wkroczyło w granice posiadłości Caonabo, on kazał ich zabić, a lękając się o swoje bogactwa, ze swymi

sprzymierzeńcami karaibami nocą napadł na osadę, ludzi wymordował, a fortecę spalił. Guacanagari wprawdzie nadbiegł z pomocą, otrzymał nawet ciężką ranę w rękę, lecz swoich białych przyjaciół nie obronił.

Towarzysze Kolumba chcieli uwięzić i śmiercią ukarać kacyka, podejrzewając go o współudział w napadzie, admirał jednak sprzeciwił się temu, mówiąc:

— Zmarłych współziomków już nie wskrzesimy a ciężki grzech popełnilibyśmy, tak srogo karząc człowieka, bez pewnych dowodów jego winy.

Nie chciał już Kolumb z gruzów dźwigać dawnej fortecy, tembardziej, że bliskość wód stojących czyniła tę miejscowość niezdrową, lecz posunawszy się ku wschodowi, przy wyborym porcie upatrzył pośród cienistych gajów dolinę, kędy hiszpanie zbudowali miasto na cześć kastylijskiej królowej nazwane Izabel. Kościół wzniesiony tutaj był pierwszym w Nowym Świecie kościołem, czci Chrystusowej poświęconym. Wzniesiono świątynię Pańską z kamienia, inne budowle i domy w Izabel były drewniane.

Przez całą zimę 1494 r. przebywał tu Kolumb.

Towarzysze jego, którzy spodziewali się znaleźć dużo złota, mającego ich z bogactwem od razu, zawiedzeni w swych nadziejach, wnet sprykrzyli sobie pobyt na wyspie. Nikt nie miał chęci do pracy i uprawy urodzajnych gruntów, więc żywności przywiezionej z Hiszpanii zaczynało brakować. Klimat też dla Europejczyków okazał się nieprzyjnym, dużo było ludzi chorych, a codzień prawie ktoś z załogi umierał. Kilka okrętów wyprawiono po zapasy do Europy.

W maju 1494 r. Kolumb też puścił się w podróż tym razem ku zachodowi i odkrył wyspę Jamajkę. Spotykał po drodze mnóstwo małych wysep i ani wylądowując na nich ani ich nie licząc, nazwał je „Ogrody królowej”. Potem zawrócił do Kuby i opłynawszy ją zarówno jak Jamajkę, kształty obu tych wysp rysował na mapach.

Cały rok 1495 i cztery pierwsze miesiące roku następnego, przepędził admirał na Haiti, gdzie ciężkich doznawał zgrzytot. Bardzo wielu zubożonych kastylijskich hidalgów wzięło udział w drugiej wyprawie Kolumba, jedynie w celu wzbogacenia się. Więc złota poszukiwali wszyscy, a najbujniejsza ziemia leżała odlegliem, gdyż pracę koło roli hidalgowie uważali za niegodną szlachcica.

Z krajowcami hiszpanie obchodzili się okrutnie, zmuszając ich do najcięższych robót, wydzierając im przemocą najmniejszą odrobinę złota i pastwiąc się nad nimi, skoro nic nie znaleźli.

Admirał stawał w obronie nieszczęśliwych wyspiarzy, lecz hidalgowie zwierzchniczej jego władzy nie chcieli uznawać nad sobą. Owszem: każdy do Europy odpływający okręt wiozł niechętnych, nienawistnych Kolumbowi, którzy przed Ferdynandem i Izabellą oskarżali go o te właśnie niegodziwości, jakie popełniali sami, to jest: o chciwość bezmierną, o uciemężanie wyspiarzy, a pogardliwą dumę względem hiszpanów.

Kolumb zapragnął się z tych fałszywych oskarżeń usprawiedliwić. Zarząd na Hiszpanoli powierzył bratu swojemu Bartłomiejowi; w czerwcu 1496 roku przybył do Kadyksu.

Był schorzały, zgnębiony; osiwił już zupełnie, nosił grubą, ciemny habit zakonnika, i tak stawiał się na dworze królewskim w Burgos.

Nie wyrzekł ani jednego słowa w swojej obronie — opowiada jeden z biografów Kolumba — a przeciw król Ferdynand i donna Izabella wnet poznali, że to nie okrutnik jest, ani chciwiec i pyszałek, jeno pokornego ducha chrześcianin zacny, uczony, że oskarżają go niewinnie ci hidalgowie, z których nienajeden nie umie bez omyłki odmówić „Wierzę w Boga” i dziesięcioro przykazań.

Królowa Izabella ze skarbu państwa przeznaczyła znaczną sumę na nową wyprawę, której przeciw nie można było ułożyć od razu i dopiero w maju 1498 wyruszył admirał z portu San Lucar de Barameda. Przy wyspach Zielonego Przy-

ładku flota rozłączyła się: trzem statkom kazał Kolumb udać się od razu na Hiszpanię, sam zaś skierował się na południe.

Po siedemnastu dniach żeglugi był z powrotem w Antylach odkrył wyspę *Trinidad* (św. Trójcy); następnie Kolumbowe okręty wpłynęły na wspaniałą rzekę Orinoko.

— Zbliżamy się do ziemskiego raj! — wołali wówczas uradowani żeglarze, a i w sercu admirała zbudziła się podobna nadzieja, albowiem wyobraźnia średniowiecznych ludów umieszczała raj na górze niebotycznej, pośród wspaniałej roślinności, a tutaj właśnie od strony południowo-zachodniej były i góry wyniosłe i klimat rozkoszny i masa drzew najpyszniejszych, palm o olbrzymich liściach pod którymi chronili się przed skwarem dziennym krajowcy, kwiatów wonnych, różnobarwnego plectwa i motyli.

Niedzielę 5 sierpnia załoga Kolumbowych okrętów, świętowała na wybrzeżu Orinoco.

Postawiono tam krzyż i kapelan odprawił mszę św. na tej ziemi, kędy poraz pierwszy stąpała nogą Europejczyka, a którą Kolumb nazwał Ziemią Łaski (*Terra di Gracia*).

Odkrywszy jeszcze Wyspę Perłową wrócił Kolumb na Hiszpanię, gdzie osadnicy formalny bunt podnieśli.

Skargi wciąż szły do Hiszpanii.

Gdy król Ferdynand przejeżdżał ulicami Grenady, a w jego orszaku znajdował się paż Diego Kolumb, zaraz podnosiły się okrzyki:

— Oto syn przybłądy genuencyka, który odkrył niezdrone i bezpłodne wyspy poto aby w nich ze szczętem wyginęła kastylijska szlachta... Genuencyk zamierza wybić się z pod władzy naszego króla i samemu ogłosić się królem Nowego świata!... Zagarnął wszystko i zebrał już ogromne skarby!

Król Ferdynand katolicki, waleczny rycerz, mądry i przebiegły polityk był obok tego podejrzliwym, zazdrośnym i skąpym. Więc tych oskarżeń nie puszczał mimo uszu i dla sprawdzenia rzeczy wyprawił do Haiti komandora de Calstrava, Franciszka Bobadillę. Był to krewny hrabiego de Lhera, który zazdroszcząc Kolumbowi, oddawna go nienawdził.

Przybywszy do San Domingo jako królewski komisarz i sędzia najwyższy, nadużył swej władzy i pełnomocnictwa otrzymanego od króla.

Rozkazał uwięzić obu Kolumbów, zabrał ich złoto, pieniądze, nawet ubranie słowem: wszystko co posiadali.

W więzieniu żywiony zepsutemi pokarmami, odziany jak nędzarz, prześladowany, upokarzany w rozmaity sposób, Krzysztof Kolumb te znęcania nad sobą znosił, z nieprzyjemną pogodą umysłu, słodyczą, z niewyczerpaną cierpliwością.

— Obroną moją jest moja niewinność, Bóg doświadcza mię jak Hioba i pewno Jego miłosierna ręka jak Hioba wydzwignie mię z tych nieszczęść — powtarzał i tą nadzieją się krzepił wśród przejść najstraszniejszych.

Wreszcie okutego w kajdany wice-króla Indyj, komandor de Calatrava, wyprawił do Europy.

Dowódczą Gordy, wojennego okrętu wiozącego Kolumbów, był ubogi szlachcic Alonzo de Vallejo.

Chociaż stanowisko swoje zawdzięczał Franciszkowi Bobadilli, i był mu oddany, czuł przecież krzywdę wyrządzoną admirałowi i skoro tylko wypłynęli na ocean, z oznakami uszanowania i życzliwości chciał obu Kolumbom zdjąć kajdany. Admirał przecież nie przystał na to.

W 1500 roku, 25 listopada, wice-król Indyj do Kadyksu przybył w okowach, pod strażą, jako więzień stanu.

Na wieść o tem królestwo wydali rozkaz, aby natychmiast uwolnić Kolumbów, a Krzysztofowi oddawać należne mu honory.

W Grenadzie, kędy dwór podówczas przebywał, wielki żeglarz odebrał od obojga królestwa zapewnienie gorącego ubolewania, że tak niesłusznie i wbrew ich woli wyrządzone



ZE ZBIORU OSTRYG.

mużyle obelg i krzywd ciężkich. Obiecywano wynagrodzić mu te upokorzenia, a tymczasem chytry Ferdynand nie miał zamiaru przywrócić mu godności wice-króla Indyi i do San Domingo w charakterze swego pełnomocnika wyprawił Mikołaja de Ovando. Franciszek Bobadilla został odwołany.

Wracając do Europy, podczas burzy morskiej zatonął ze swoim okrętem i swojemi skarbami, które przez grabieżę i zdzierstwa zdołał w krótkim przeciągu czasu zebrać.

Ostatnią już podróż przedsięwziął Kolumb w r. 1502.

Tym razem z czterema statkami płynął zachodnią stroną zatoki Meksykańskiej.

Na półwyspie Yukatan, spotkał plemię „Maja” stojące

już na wyższym stopniu cywilizacji. Widywał też tutaj dobrą broń, ładne tkaniny bawełniane i piękne wyroby garncarskie.

Skutkiem zebranych w Yukatanie wiadomości, skierował się ku południowi na poszukiwanie kraju Veragua, gdzie złoto miało się znajdować w wielkiej ilości.

Uciążliwą była niezmiernie żegluga po tej części morza antylskiego, zawartej pomiędzy przylądkiem Honduras, a półwyspem Yukatan, z powodu piaszczystych raf zapychających zatokę Honduras, z powodu ustawicznych nawałnic i przeciwnych wiatrów, a przytem wśród załogi grasowały zaraźliwe choroby a robactwo niszczyło statki.

W dniu kiedy ulewy ustały i słońca promienie zajaśnia-

ly na wypogodzonym niebie, flotylla dotarła do przylądka któremu admirał dał piękną nazwę: Dzięki Bogu (*Gracias a Dio*.)

Później znów powstały huragany i burze. W lutym 1503 już głód zaczął trapić załogę; przemoknięte zapasy żywności psuły się i gnily.

Wreszcie dobili do owego Veragua, pomiędzy Oceanem Wielkim, a morzem Antylskim. Brat admirała, Bartłomiej Kolumb, z kilkudziesięciu ludźmi zapuścił się w głąb lądu ale napadnięty przez krajowców i raniony musiał uchodzić jak najspieszniej.

a które rzeczywiście odbyło się w oznaczonym przez admirała dniu i godzinie.

Wreszcie Ovanda przysłał okręt, który zabrał rozbitków do San Domingo.

W listopadzie 1504 roku wylądował Kolumb w Hiszpanii, a wnet potem najzyczliwsza jego orędowniczka, królowa Izabella, umarła.

Następne lata były dla Kolumba nieustannym ciągiem zawodów i cierpień.

Król Ferdynand Aragoński okazał się względem niego bardzo niewdzięcznym: nie pozwolił mu używać tytułu wice-



... palm o olbrzymich liściach pod którymi chronili się przed skwarem krajowcy... (str. 387).

Posuwając się jeszcze ku zatoce Daryjskiej, Kolumb utracił jeden ze swoich okrętów. Trzema pozostałymi burza miotła szalenie, odrzucając je, od Jamajki, to od Hispanioli i Kuby, skoro się do którejkolwiek z tych wysp zbliżał.

Nakoniec w 1503 roku wichry wyrzuciły go na Jamajkę.

Chory, zniechęcony wśród buntującej się załogi i wrogo dla hiszpanów usposobionych krajowców, rok cały przebył admirał na Jamajce, raz poraz wysyłając na Hispaniolę posłów do Ovandy, prosząc go choćby o jeden okręt, gdyż jego statki były zgruchotane przez burze i podziurawione przez robactwo.

Po dziesięciu miesiącach sprzykrzyło się wreszcie Jamajczykom żywić obcych i nieproszonych gości, postanowili ich zamordować.

Uratowało hiszpanów od śmierci zaćmienie księżyca, które Kolumb krajowcom przepowiedział jako karę ich bogów,

króla, nie pozwolił aby ten tytuł odziedziczył po ojcu dwudziestoparoletni syn Kolumba — Diego, słowem: w niczem nie dotrzymał umowy z d. 17 kwietnia 1492 roku.

(d. c. n.)

## ZE ZBIORU OSTRYG.

Rycina nasza przedstawia dwie sieroty córki rybaków, powracające ze zbioru ostryg, które niosą na sprzedaż. Mięczaki te stanowiące ulubiony przysmak wykwintnych stołów, tworzą w cieplejszych morzach tak zwane ławice, przyczepione do skał nadbrzeżnych, piasku, lub gliny. Pierwsze należą do najlepszego gatunku, ostatnie zaś do najgorszego, niemniej przeto służą za pożywienie miejscowej ludności. Ostrygi mno-

żą się z niesłychaną szybkością, jedna z nich bowiem może mieć rocznie 50,000 do 60,000 potomków. Najwięcej poszukiwane są ostrygi angielskie, potem francuskie, a następnie holenderskie i włoskie. W miejscach gdzie są przedmiotem handlu, zbierane ostrygi przechowują w oddzielnych stawach, czyli parkach, napełnionych wodą morską, gdzie się oczyszczają ze śluzu, który je powleka, gdy wyjęte prosto z morza. We Francji mianowicie w Arcachon, w Saint Malo i w Saint Brieux, są urządzone sztuczne ławice, dla hodowli ostryg, które się stamtąd rozchodzą w różne strony w znacznej ilości.

## Tajemniczy Zamek.

(Dalszy ciąg).

### XVI.

Tak to śpiewała Stilla! Głos jej podobien był do tchnienia, wydobywającego się z ust, które pozostawały nieruchome. Franciszek upajał się dźwiękiem tego głosu, którego nie słyszał od lat pięciu... cały się zatapiał w widoku tej kobiety, której widzieć się już nie spodziewał, a która oto stała przed nim żywa, jakby cudem z grobu wskrzeszona!

A nawet to, co śpiewała, było jakby umyślnie po to wybranem by struny wspomnienia silniej w sercu jego zadrgały. Tak! był to finał tragicznej sceny z Orlanda, ten sam finał, z którego ostatnią nutą uleciała dusza śpiewaczki.

Franciszek wsłuchiwał się chciwie w każdą nutę tej przepięknej melodyi, mówiąc sobie, że tym razem nie zostanie przzerwana tak nagle, jak to w teatrze San-Carlo miało miejsce. Nie! nie skona już na ustach Stilli, jak skonała wówczas na owem przedstawieniu pożegnalnem.

Wtem nagle głos słabnąć zaczyna... Rzechy można, że Stilla waha się powtórzyć te słowa dźwięczące przejmującą żalnością:

„Voglio morire...”

Czyż i na tej estradzie padnie martwa tak jak wtedy, gdy na scenie upadła?

Nie upada, lecz śpiew jej urywa się na tym samym taktie, na tej samej nucie jak wówczas, w teatrze San-Carlo... Z ust jej krzyk wybiega... ten sam krzyk, który owego wieczoru słyszał Franciszek...

A przecież Stillę wciąż przed sobą widzi... Stoi na estradzie nieruchomo, z tem samym głębokim spojrzeniem...

Franciszek uczynił mimowoli ruch taki, jakby zbliżyć się chciał do niej, lecz w tej samej chwili spotkał się oko w oko z baronem, który powstał.

— Franciszek Telek! — zawołał Rudolf Gorc—Franciszek Telek? Uciekłeś... uciec potrafiłeś?

Ale Franciszek nie odpowiada mu nawet i rzucając się ku estradzie:

— Stillo! — powtarza — Stillo... Ciebie tu znajduję... żywą!

— Żywą! Stillę, żywą! — szyderczo odpowiada baron Gorc a odpowiedź swoją kończy śmiechem, w którym czuć uniesienie wściekłości. — żywą? Skoro tak, spróbuj więc porwać ją, Franciszku Telek!

Franciszek wyciąga ręce ku Stilli, która oczy ma w niego utkwione. Lecz w tejże samej chwili Rudolf Gorc się schyla, podnosi nóż upuszczony przez Franciszka i zamierza się nim na nieruchomą wciąż Stillę.

Franciszek rzuca się na niego, aby odwrócić cios groźny nieszcześliwej...

Zapóźno już... nóż ugodził ją w samo serce...

Wtem niespodzianie, daje się słyszeć brzęk rozbitego zwierciadła, drobne kawałki szkła rozpryskują się po całej komnacie... wraz z niemi znika postać Stilli.

Franciszkowi ręce opadły bezwładnie... Nie rozumie... Co to jest? Czyżby dostał pomieszania zmysłów?

A Rudolf Gorc wykrzykuje głosem złośliwego tryumfu.

I teraz znowu wymknęła się Franciszkowi Telek Stilla: Ale głos jej... jej głos pozostał moim... Głos jej do mnie należy... do mnie jednego... i nigdy do nikogo więcej należeć nie będzie...

Franciszek chce się rzucić na barona, ale w tejże chwili opuszczają go siły i pada bez zmysłów u stóp estrady.

Rudolf Gorc nie zwraca nawet uwagi na młodego hrabiego. Chwyta za pudełko stojące na stole, wypada z komnaty i zbiega na pierwsze piętro baszty; potem, wyszedłszy na taras, okrąża basztę i wrócić chce do jej wnętrza drugimi drzwiami, gdy nagle rozlega się huk strzału.

To Rocko, stojący na szczycie przeciwnego wału, dał strzał do ujrzanego na tarasie barona. Baron nie został trafiony, lecz kula Rocka zdruzgotała pudełko, które przyciskał do piersi...

Krzyk straszny wyrwał się z piersi barona.

— Głos! jej głos! — powtarzał. — To dusza jej... Stilli dusza... Trafił w nią... zdruzgotał... zniszczył!...

I ze zjeżonymi włosami, z zacisniętymi pięściami biegnąc zaczął po tarasie krzycząc:

— Jej głos! jej głos! Zabili mi jej głos! Przekleństwo im! przekleństwo!

Poczem znikł w prowadzących do wnętrza drzwiach, wtedy właśnie gdy Rocko i Niko Deck usiłowali wedrzeć się za obręb murów zamczyska, chcąc uprzedzić przybycie agentów policyjnych.

W tejże samej prawie chwili, rozległ się huk gromowy, od którego zatrzęsły się w posadach swoich góry Plese. Aż snopy płomieni strzeliły pod chmury a grad kamieni zasypał całą drogę Wulkanu.

Z wieżyc baszty, z obwodowego muru, z kaplicy tajemniczego zamczyska, nie pozostało nic prócz stosu zwalisk, dymiących na płaskowzgórzu Orgall'u!

(d. c. n.)

## SZTUKA CZY RZEMIOSŁO

Z NIEMIECKIEGO.

(Dalszy ciąg).

— Przepraszam pana — nieśmiało wyjąkał chłopiec — niech się pan na mnie nie gniewa. Musiałem zgubić but w tłumie.

— But? — powtórzył starzec, spoglądając na Huberta tak przenikliwym i ponurym wzrokiem, że biednemu chłopcu pot kroplami wystąpił na czoło — cóż mnie twój but obchodzi?

Hubert zadrżał, w tej chwili przyszło mu na myśl, że starzec ten musi być obłąkanym.

— Ależ to nie mój but; zgubiłem but od tej pary, którą pan obstałował u pana Sachsa — odrzekł wskazując na bosą nogę starca.

— Acha! — odrzekł tenże jak gdyby budząc się ze snu kto by myślał o tem? — Ale — mówił dalej marszcząc wysokie czoło i potrząsając głową tak silnie, że długie włosy na twarz mu spadały. — Ale co to się stało? To pewnie nowy podstęp Elżbietki, której się zdaje, że nie można nosić podartych butów i dlatego tracimy drogi czas... tracimy drogi czas... i muie zimno w nogi.

Hubert stał w milczeniu, coraz bardziej zmieszany i zakłopotany. Starzec zwolna kiwał głową powtarzając głuchym głosem: „Za prędko! za prędko!” a jajo w szkatułce i wszystkie jaje leżące na stole zdawały się potakiwać jego słowom bo szemrały wciąż miarowo, jednostajnie jak gdyby powtarzały za nim: „Za prędko! za prędko!” Nagle drzwi skrzypnęły, promień słońca rozjaśnił na wpół ciemny pokój i Elżbietka stanęła na progu. Przybycie jej rozwiało niepokój

i wszystkie obawy chłopca. Jednym rzutem oka objawszy położenie, z wesołym uśmiechem podbiegła do starca, wsunęła mu pantofel na bosą nogę, poczem zwracając się do Huberta, rzekła:

— Pewnie musiałeś zgubić jeden but i nie wiesz teraz co począć? Ojciec — dodała, ujmując rękę starca, który pochylił się znów nad wyjętem ze szkatułki jajem i zdawał się zapominać o całym świecie — ojciec, czas już na obiad. Proszę schować zegarek i pójść ze mną.

Nie podnosząc oczu od trzymanego w rękę przedmiotu, Piotr Hile mruzczał wciąż do siebie: Za prędko! za prędko! Elżbietka pocałowała go w czoło.

— Ojciec! chodźmy na obiad — powtórzyła.

Starzec ani drgnął.

Wtedy ostrożnie wyciągnęła mu z ręki zegarek i przeprowadziła go do sąsiedniego pokoju. Białe firanki, kwiaty stojące na oknach, czystość wyzierająca z każdego kącika świadczyły, że kobieta była właścicielką tej izdebki.

Przez nawpół uchylone drzwi Hubert widział, jak Elżbietka posadziła starca przy stole nakrytym czystym obrusem, następnie zaś podszedłszy do komina nalała talerz zupy i postawiła przed ojcem. Podczas gdy starzec machinalnie jeść zaczął, ona powróciła do pierwszego pokoju.

— Wracaj do domu — rzekła łagodnie — spóźnisz się na obiad i zostaniesz wyłajany. Radzę ci — dodała — przyznaj się do winy, powiedz że zgubiłeś but a majster ci przebaczy.

— Elżbietko — nieśmiało zagadnął Hubert, wskazując ręką na starca siedzącego przy stole — powiedz mi, czy twój przybrany ojciec jest chory czy też — zawachał się i spoglądał trwożliwie na zegary.

— Czy co? — z uśmiechem spytała Elżbietka.

— Czy też oczarowany? — wyjąkał wreszcie Hubert.

Elżbietka wybuchnęła głośnym śmiechem.

— Więc ty wierzysz w czary? — spytała szyderczo.

— Więc ty przypuszczasz... myślisz — zaczął znów Hubert ze wzrastającym zakłopotaniem.

— Myślę, że bardzo smutno byłoby na świecie, gdyby złe duchy takie płały figle ludziom.

— I mówisz to tak śmiało tutaj, gdzie jesteś otoczona czarami? — półgłosem spytał Hubert.

— Ach! jakież ty nierozsądny! — zawołała Elżbietka — to nie są żadne czary tylko zegarki a raczej to będą zegarki.

— Zegarki? — powtórzył Hubert spoglądając na nią z takim przerwaniem, jak gdyby się jej lękał, sądząc, że jest także oczarowana.

Ostatni wyraz wymówiony przez Huberta wyrwał z zadumy starca, który powstał z za stołu i stanąwszy we drzwiach

— Tak, to są zegarki — odrzekł wskazując przedmioty leżące na stole.

— Ależ ja znam tylko takie zegary, jakie widać na wieżach kościelnych — nieśmiało zauważył Hubert.

— Bo dotąd takie tylko wyrabiano — odrzekł starzec — ale wkrótce nadejdzie pora, kiedy wieśniak nie będzie potrzebował podnosić oczu ku słońcu, kiedy każdy będzie nosił zegarek przy sobie, aby zobaczyć która jest godzina dnia czy nocy.

— To być nie może — szepnął Hubert, ze zdziwieniem spoglądając na starca, którego twarz ożywiła się nagle i w oczach którego płonął ogień zapału.

— Przyszłość to pokaże — odrzekł starzec. — Powiadam wam, że te małe maszynki będą wskazywały czas równie dokładnie, jak wielkie zegary wieżowe, a — dodał podniesionym głosem — ja sam tego wynalazku dokonam, jeżeli Bóg pozwoli mi żyć jeszcze i pracować.

Po tych słowach starzec osunął się na krzesło, wyczerpany silnym wzruszeniem.

Elżbietka dała chłopcu znak, aby się oddalił a Hubert wyszedł jak odurzony z mieszkania, w którym doznał tylu niezwykłych wrażeń.

Pani Kunegunda stawiała właśnie wagę na stole, gdy Hubert wbiegł zdyszany. Surowe spojrzenie pani domu powitało zmieszanego chłopca, który nieśmiało przy drzwiach stanął. Hans Sachs pogroził mu z uśmiechem i wskazał miejsce przy sobie. Po obiedzie, podczas którego Hubert nic prawie do ust nie wziął, bo obawa gniewu majstra odbierała mu apetyt, pani Kunegunda pozostała w domu, mąż jej zaś i Hubert udali się do warsztatu. Teraz nadeszła chwila wyznania popełnionej winy. Sachs w milczeniu wysłuchał spowiedzi, a wymówki, których się Hubert spodziewał i na które w istocie zasłużył, nie musiały być surowe, bo ośmielony chłopiec opowiedział wnet majstrowi, i jak dziwne wrażenie wywarł na nim starzec, które go pomimo zapewnień Elżbietki, uważał jednak za czarnoksiężnika.

— Mylisz się, mój chłopcze — odparł Sachs z uśmiechem. — Polegaj zawsze na tem, co ci mówi Elżbietka. Rozsądna to i dobra dziewczynka; ciągle obcowanie z przybranym ojcem, który opiekuje się nią od ósmego roku jej życia kiedy została sierotą, wykształciło jej umysł, bo Hile jest niepospolicie rozumny człowiekiem.

— Więc pan naprawdę przypuszcza, że jego wynalazek jest możliwym? — zapytał Hubert.

— Naturalnie — tonem głębokiego przeświadczenia odrzekł Sachs — długoletnia jego praca zostanie uwieńczoną skutkiem pomyślnym i jestem przekonany, że zegarki jego roboty będą wskazywały dokładnie nie tylko godziny ale nawet minuty.

— O! jak to miło być rozumnym! — zawołał Hubert.

— Masz słuszność, mój chłopcze — odrzekł Sachs — rozum jest wielkim darem Bożym. Epoka w której żyjemy położyła wiele zasług dla ludzkości: wydała bowiem wielu znakomitych uczonych i sztukmistrzów, wzbogaciła nas wieloma pożytecznymi wynalazkami, do rzędu których wkrótce liczyć się będą i zegarki kieszonkowe.

— Słyszałem także, że wynaleziono nowy sposób urządzania broni palnej tak, aby można strzelać z niej prędzej, niż to się dzieje teraz, kiedy trzeba podpalać proch lontem.

— Tak — odrzekł Sachs — przed kilku laty czyniono już pierwsze próby w Norymberdze i jeżeli teraz nieprzyjaciel wtargnie do naszego kraju, będziemy mieli do obrony strzelby z kurkami.

Hubert radby był o niejedno jeszcze zapytać, ale surowe spojrzenie majstra, który nie tracąc czasu, krajał tymczasem nowy but dla Piotra Hile, przypominało mu, że i on powinien wziąć się do roboty. Sachs cierpliwie kierował pierwszymi krokami ucznia i tak przy wspólnej pracy niepostrzeżenie upłynął im czas do wieczora.

Widocznie pani Kunegunda była teraz w lepszym humorze niż podczas obiadu, bo z pogodnym obliczem i uśmiechem na ustach powitała wchodzących, gdy obaj głodni i zmęczeni zjawili się na wieczerzę. Czysto nakryty stół, smaczne jadło i uprzejmość gospodyni wywołują zawsze zadowolenie wszystkich domowników, to też Hubert czuł się teraz tak szczęśliwym i wesołym jak wówczas, gdy spędzał wieczory w domu Fryderyka Kleina. Sachs posiadał niezrównany dar ożywiania rozmowy i wzbudzania ciekawości słuchaczy. Każde jego słowo znamionowało wykształcony umysł i serce umiejące czuć głęboko. Nie dziw więc, że Hubert cieszył się niemal z tego, iż zaniechawszy wędrówki po pracowniach malarzy, zgodził się uczyć i pracować pod kierunkiem takiego majstra.

Nieraz wprawdzie podczas roboty zdarzały się chwile, kiedy przeklinał obrany zawód i chętnie byłby rzucił w kął skórę i kopyto aby wybiec z warsztatu, użyć swobody i nacieszyć się widokiem złotych promieni słonecznych, które przez okrągłe okna wpadały do izby, płasząc i migocąc po ścianach. Nieraz jeszcze obrazy widziane w pracowni Albrechta Dürera stawały mu żywo przed oczyma, budząc w sercu uczucie zazdrości, nieraz roił też same świetne marzenia, z jakimi opuszczał dom ojcowski i wtedy nieprzewyciężone zwyciężenie go ogarniało. Psuł skórę, trzymał szydło tak nie-

zrećnie, że parę razy nieomal oczu sobie nie wykiął, albo też siedział beczynnie w myślach zatopiony. Wtedy Sachs podchodził ku niemu i położywszy mu rękę na ramieniu, upominał poważnie: „Chłopcze, porzuć próżne marzenia i weź się do roboty.” Zresztą dzięki dobroci i ojcowskim przestrogom majstra podobne chwile roztańnienia powtarzały się coraz rzadziej.

Hubert odwiedzał teraz często Piotra Hele i Elżbietę. Pewnego razu idąc do nich po schodach usłyszał, że otworzono drzwi na górę i dostrzegł Elżbietkę, która spoglądając w dół, zapytała głosem brzmiącym radością:

— Czy to ty, Hubercie?

Zaledwie zdążył odpowiedzieć, ona wbiegła znów do pokoju, wołając:

— Ojczcie! Hubert idzie.

Zdziwiony i zaniepokojony niezwykłym jej zachowaniem się, Hubert w gnieniu oka był już na górę.

— Udało się! udało się! — spostrzegłszy go zawołała Elżbietka. — Udało się! — powtarzała, płacząc z radości i co chwila obcierając łzy, które gwałtem cisnęły jej się do oczu.

Piotr Hele stał na środku pokoju z wyrazem zachwyty na twarzy, z oczyma wzniesionymi w górę, z rękoma jak do modlitwy złożonemi i głosem drżącym ze wzruszenia powtarzał:

— Dzięki Ci Boże! Dzięki Ci Boże!

— Przyjrzyj się — rzekła wreszcie Elżbietka do Huberta, który nie rozumiejąc dotąd przyczyny tego wzburzenia, stał we drzwiach jak skamieniały — przyjrzyj się! Oto pierwszy zegarek, który idzie zupełnie dokładnie.

Z temi słowy pokazała mu leżący na stole podługowaty czasomierz, który nie dzieląc radości jakiej był powodem, szemrał spokojnie i jednostajnie.

— Tak, jest to pierwszy zegarek, który mi się udało wykonać zupełnie dokładnie — rzekł starzec, kładąc rękę na ramieniu Huberta. — Od rana ani na chwilę nie spuściłem z niego oka, zegarek ten idzie zupełnie równomiernie ze słowem, nie pośpieszył się ani nie opóźnił nawet na minutę. Teraz jestem zupełnie szczęśliwy! teraz mogę umrzeć spokojnie.

— Nie omyliłem się więc — powiedział Sachs, gdy Hubert wróciwszy do domu podzielił się z nim ową radosną nowiną — Bóg wynagrodził jego wytrwałość a ludzkość zdobyła skarb wielki, bo czas to pieniądz, a kto umie mierzyć go dokładnie, potrafi też zrobić zeń dobry użytek.

Z temi słowy spojrzął znacząco na Huberta, ten zaś czując, że nie należy do ludzi umiejących spożytkować każdą chwilę, zarumienił się i uściśnął rękę majstra. Uścisk ten był milczącym przyrzeczeniem, że odtąd stanie się pilnym i pracowitym i niczem nie zasłuży na niezadowolenie swego kierownika. Sachs zrozumiał widocznie niemą tę obietnicę, bo pocałował chłopca w głowę, rzekł łagodnie:

— Niech ci Bóg błogosławi we wszystkich twoich zamiarach!

W owej epoce panował zwyczaj, że trzy razy do roku w dzień Bożego Narodzenia, Wielkiej Nocy i Zielonych Świątek, meistersingerowie śpiewali kolejno w kościele wobec licznie zgromadzonego tłumu. Uroczystość ta nosiła nazwę Szkoły świątecznej. Idąc więc do kościoła w Boże Narodzenie Sachs zabrał z sobą Huberta. Z bijącym sercem chło-

piec wszedł do przystrojonej zielenią świątyni i zmieszkał się z tłumem, Sachs zaś zajął należne mu miejsce w gronie meistersingerów. Znajdowali się pomiędzy nimi i siwowłosi starcy, i ludzie w sile wieku, i młodzieńcy pełni zapału; wszyscy mieli na sobie świąteczne szaty z czarnego jedwabiu i duże koronkowe kołnierze; wszyscy siedzieli milczący, poważni, w myślach zatopieni. Obok ambony znajdowało się niewielkie wzniesienie, wielki ołtarz oddzielony był od kościoła czarną kotarą, z poza której widać było trzech ludzi siedzących przy stole zarzuconym przyborami do pisania.

Będąc po raz pierwszy świadkiem podobnej uroczystości, Hubert ciekawie rozglądał się w około i zapytał jednego ze swych sąsiadów:

— W jakim celu urządzone to wzniesienie obok ambony?

— Nie wiesz? — odparł zagadnięty. — Jest to estrada, na którą kolejno wchodzić będą czcigodni meistersingerowie, aby składać dowody swej umiejętności. A widząc, że Hubert spogląda ze zdziwieniem na owych trzech mężów nawpół ukrytych poza kotarą, dodał. — To są sędziowie.

— Jacy sędziowie? — zapytał Hubert.

— Muszą oni pilnie uważać i przysłuchiwać się, czy śpiewający używa pięknych rymów i właściwej budowy wiersza, oraz czy pieśni jego nie sprzeciwiają się prawdom w Biblii zawartym.

— A do czego służy ten złoty łańcuch wiszący na ścianie i ten piękny wieniec ze sztucznych kwiatów?

— Łańcuch wkładają sędziowie na szyję temu, kto ich zdaniem wart jest najpierwszej nagrody, wieniec zaś dostaje ten, kto po nim najlepiej się z zadania swego wywiązał.

Gdy po popisie dwóch pierwszych z kolei Hans Sachs wstąpił na estradę, radość zajaśniała w oczach Huberta, oddech w piersiach mu zamarł. Istotnie pięknie wyglądał w tej chwili ten wysoki, barczysty mężczyzna w czarnym atlasowym płaszczu, gdy stojąc na estradzie powiódł wzrokiem po zgromadzonym ludzie i silnym, dwujęzycznym głosem rozpoczął pieśń ku chwale Pana, Stworzyciela ziemi i niebios.

Hubert zachwycał się śpiewem obu pierwszych meistersingerów, nigdy jednak nie doznał takiego wzruszenia, jakie go w tej chwili ogarnęło. Wstrzymując oddech wsłuchiwał się w każde słowo z ust Hansa Sachsa wychodzące, a gdy ten umilkł, gdy sędziowie powstawszy zawiesili mu złoty łańcuch na szyi a jednemu ze starców podali wieniec z kwiatów uwity, uszczęśliwionemu chłopcu zdawało się, że zaszczyt ten po części i na niego splywa. Ze łzami w oczach przecisnął się przez tłum otaczający mistrza i okrywając rękę jego pocałunkami, zawołał:

— Ach! jak pan śpiewał prześlicznie! Jakżem szczęśliwy, że mogłem pana słuchać! Nigdy w życiu nie zapomnę tej chwili.

— Cieszę się, mój chłopcze, żeś kontent ze mnie — z uśmiechem odrzekł Sachs. — Idźże teraz i baw się dobrze, ja spędzę ten dzień z towarzyszymi.

Wyszedłszy z kościoła, Hubert wrócił do domu na obiad, poczem poszedł do Piotra Hele i tam wieczór wesolo przepędził.

(d. c. n.)

#### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurowisko Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

**TREŚĆ:** Józefa Kamocka, p. Z. Morawską (z drzew.) — Jak ludzie istotną postać ziemi poznali? Skreślił Stanisław Kramsztyk. — Do ziemi nieznaną p. Halinę Tokarzewską (z drzew.) — Ze zbioru ostrzeg (z drzew.) — Tajemniczy zamek. — Sztuka czy rzemiosło, z niemieckiego. Dodatek: Tygrysyk, wiersz p. T. P. — Rozmowa z wujaszkiem. — Przygody Iskierki, Perelki i Brylancika. — Lamigłówni i rozwiązania. — Dodatek książkowy: W krainie Gwebrow.



# WIECZORY RODZINNE.



## TYGRYSIK.

Tygrysiu, ty niecnoto,  
Lalkę Wańdzi wzięłeś oto,  
Poniewierasz tę panienkę,  
Mniesz i walasz jej sukienkę...  
Ty to robisz ze swawoli,  
A ją biedną pewno boli,  
Bo żałośnie rozpostarła  
Drobne rączki... Znać umarła?  
Młodo zesła z tego świata!  
Ach! przez ciebie taka strata...  
Choć to zwiesz niewinną psotą,  
Tygrysiu, ty niecnoto!

T. P.

## ROZMOWA Z WUJASZKIEM.

### VII.

— Powiedźcie mi, moi chłopcy — rzekł jednego razu wujaszek — czy są jakie różnice między roślinami i drzewami jednego gatunku i co je stanowi?

— O! są i wielkie — odpowiedział Miecio — bo np. zboże, w jednym miejscu może być piękne a w drugim liche, toż samo drzewa i rośliny.

— A od czegoż ta nierówność zależy?

— Od rodzaju gruntu, na którym zasiano i posadzone jedno i drugie.

— A między zwierzętami jednego rodzaju czy wszystkie są jednakowe?

— Nie, bynajmniej, różnią się również wzrostem i kształtem — odpowiedział Miecio — a zależy to także

od krajów, gdzie się urodziły i warunków, w jakich je wychowano. Inny jest koń arabski a inny angielski i t. p.

— A ludzie czyż się bardzo od siebie różnią?

— O! bardzo, są wysocy i niscy, silni i słabi — odparł Kazio.

— A zatem zachodzą pomiędzy nimi takie same różnice jak pomiędzy roślinami, drzewami i zwierzętami?

— Różnią się także przymiotami i wadami — wtrącił Miecio.

— I zwierzęta mają wady i przymioty.

— Różnią się też od nich ludzie rozumem, uczuciami i wolną wolą.

— Tak jest i ponieważ te przymioty są u nich rozciąglejsze i silniejsze niż u zwierząt, przeto i różnice ich pomiędzy sobą są większe, dla czegoż bowiem jeden człowiek może się różnić do tego stopnia od drugiego, że wznosi się do najwyższej cnoty, podczas gdy tamten wpada w otchłań złego?

— Dlatego, że jeden i drugi tego pragnie.

— Nietylko pragnie, ale że uczynić to może, bo zależy od nich czynić źle lub dobrze, jednym słowem, że są...

— Obdarzeni wolną wolą — przerwał Kazio.

— Dobrześ powiedział, że mają wolną wolę wyboru pomiędzy złem a dobrem, że mogą się udoskonalić lub stać gorszymi, pracować nad sobą i odmienić się, wznieść się wyżej lub upaść; to sprawia, że dwóch ludzi może dojść do dwóch odmiennych ostateczności. Starajcie się więc używać dobrze tej wolnej woli, która stanowi godność człowieka i czyni nas odpowiedzialnymi za wasze postęпки i poniekąd panami waszej przyszłości.

## Przygody Iskierki, Perelki i Brylancika.

(Dalszy ciąg).

— Gdzieś była Noro? — cichym głosem zapytał chłopiec. — Dlaczego nie przyszedł na noc?

Chłopiec ten, któremu na imię było Tumry, był rówieśnikiem Nory i prawdziwym jej przyjacielem. Trzy starsze jego siostry nieraz dokuczały biednej sierocie, a on zawsze stawał w jej obronie.

— Gdzież była? — zapytał poraz drugi, gdy Noro usiadła obok niego na trawie.

— Byłam bardzo zmęczona, nie mogłam iść dalej, zabłąkałam się i usnęłam w rowie niedaleko stąd. Czy wuj bardzo się gniewał? Ach! tak mi zimno! tak mi się chce jeść! Patrz, co przyniosłam z sobą! — mówiła dziewczynka i zsunawszy z pleców chustkę pokazała mu Perelkę śpiącą na jej ramieniu.

— Jaki śliczny kociak! — zawołał chłopiec — ale ojciec pewnie nie pozwoli ci go chować. Gdzież go znalazła?

Nora opowiedziała mu wszystko. Kociątko błąkało się tak samo jak ona i nie miała serca zostawić go w rowie.

Dzieci rozmawiały przez kilka minut zastanawiając się nad tem, czy uzyskają pozwolenie zatrzymania Perełki. Nora niepokoiła się o kotkę, ale więcej jeszcze bała się kary, która ją mogła spotkać.

— Powiedz mi, Tumry, czy ojciec nie odgrażał się że mnie wybije? — pytała z obawą.

— Nie wiem, chodźmy do matki, ona cię nie da bić — odpowiedział chłopiec. Głowa jego znikła pod zasłoną i po chwili wysunął się przez pozostawiony w workach otwór, który stanowił drzwi prowadzące do tej sypialni.

Koło ogniska siedziała matka rodziny z czworgiem młodszych dzieci, z których największe miało lat ośm a najmłodsze dwa dopiero. Miska kartofli stała na niskim stołku, woda gotowała się w kociołku a przyjemna woń słoniny rozchodziła się w około. Małe dzieci grzały się przy ogniu czekając na śniadanie.

Matka była wysoka, chuda i bardzo mizerna. Silny kaszel wydobywał się z jej piersi, nie wyglądała jeszcze na starą kobietę, ale włosy miała zupełnie siwe. Zobaczywszy Norę uśmiechnęła się łagodnie.

— Gdzieżeś była przez całą noc? — spytała troskliwie. — Ojciec mówił, iż pójdzie cię szukać po śniadaniu. Dobrze że powróciłaś wcześniej.

— Byłam bardzo zmęczona, cioteczko — zaczęła Nora i znów opowiedziała całą historię, poczem pokazała kociątko, na widok którego wszystkie dzieci krzyknęły z radości i wyciągnęły po nie rączki.

Matka pogłaskała Perełkę.

— Biedne zwierzątko! — powiedziała. — Trzebaby dać mu jeść. Ojciec nie lubi kotów, ale poproszę go, może pozwoli wam wziąć je z sobą. No, dzieci, chodźcie na śniadanie — dodała — Nora także dostanie zaraz, bo musi być bardzo głodna.

— I ja także nie będę czekał — dorzucił Tumry, lękając się o swoją porcję.

— Nie zapomnę o tobie — odpowiedziała matka. — Zazwyczaj młodsze dzieci dostawały najprzód śniadanie a po nich przychodziła kolej na starsze, bo przy małym stołku nie było dosyć miejsca dla wszystkich.

Dzieci zabrały się ochoczo do śniadania, a Nora dawno już nie jadła z takim apetytem.

Czarny Tomek poszedł do sąsiedniej wioski po mleko dla chorej żony, starsze dziewczęta rozbiegły się aby nazbierać trochę suchych gałęzi.

Powróciwszy z wioski, ojciec zastał wszystkie dzieci zgromadzone około Perełki, która z wielkim smakiem zjadała swoje śniadanie. Rozgniewał się bardzo zobaczywszy kota, narzekał, że przybędzie jeszcze jedna gęba do wyżywienia, pogroził Norze, że dostanie od niego „pamiątkę” jeżeli się będzie włóczyła sama i zasiadł do śniadania. Słonina była przeznaczona dla niego wyłącznie, chciał wprawdzie podzielić się tym przysmakiem z żoną, ale chora kobieta odmówiła, tłumacząc się tem, że nie może jeść nic tłustego.

— Dlaczego nic nie jesz? — zapytał z gniewem, obcierając usta po śniadaniu. — Zdaje ci się, że ci wszy-

stko szkodzi. Rozchorujesz się jeszcze gorzej z samego głodu.

Mizerna kobieta smutnie wstrząsnęła głową.

— Nie chce mi się jeść — odrzekła nieśmiało.

— Kiedyż my się wreszcie doczekamy śniadania? — zawołała jedna ze starszych dziewczyn, które przyniosły gałęzi i czekały swojej kolei.

— Śpieszcie się, malcy! — surowo krzyknął ojciec na małe dzieci, które rozbiegły się w mgnieniu oka. Nora nie zapomniała wziąć z sobą Perełki.

Koło stołka usiadły teraz trzy dziewczyny, z których najstarsza wyglądała na lat piętnaście. Widocznie nie były one bardzo czułymi dla chorej matki, bo narzekały teraz, że tak późno dostają śniadanie, że matka dba tylko o małe dzieci, że Nora i Tumry powinni byli czekać, aż ich kolej nadejdzie.

Matka nic na to nie odpowiedziała. Siedziała przy ognisku podparwszy głowę na rękę. Ciężki kaszel wydobywał się często z jej piersi.

— Mama kaszle coraz silniej — odezwała się jedna z córek. — Jesteśmy niedaleko od miasta, pobiegnę do apteki i poproszę o jakie lekarstwo. Pamiętam, że raz przyniosłam proszki, które mamie pomogły.

— To się na nic nie zda, moje dziecko — odrzekła matka z westchnieniem.

— POCO mama wstała dzisiaj? — dorzuciła najstarsza trochę szorstkim tonem. — Lepiejby było położyć się i wypocząć. Musimy ruszyć za godzinę, ojciec mówił, że czeka nas dzisiaj długa droga. Trzeba będzie pilnować Nory, żeby znów gdzie się nie zabłąkała. Żeby tak która z nas odeszła sama, toby jej ojciec pewnie tego nie puścił płazem, ale Norze wszystko wolno. Każę jej dzisiaj iść przy sobie.

— Nora wsiądzie dziś ze mną na wóz — spokojnie lecz stanowczo oświadczyła matka.

Dziewczęta mruknęły coś niechętnie, lecz żadna nie śmiała sprzeciwić się woli matki, którą w gruncie serca kochały.

Niesforne były i samowolne, ale pamiętały, że dawniej kiedy matka była zdrowszą, była o nie bardzo troskliwą. Teraz to jedna, to druga starały się ją wyręczać; gotowały nieraz obiad albo prały bieliznę, jeżeli zatrzymano się z wozem koło wody. Na tem kończyła się ich umiejętność: użytek igły był im równie nieznanym jak użytek pióra. Rozdarłszy suknię albo kaftanik chodziły w łachmanach, dopóki nie miały za co kupić innej, choćby znoszonej odzieży. Książki żadna z nich nie widziała nigdy, chyba w mieście przez okno sklepowe.

Ojciec miał gdzieś schowane pióro i buteleczkę z atramentem, ale pisać nie umiał; matka umiała podpisać swoje nazwisko, a nawet z wielką trudnością udawało jej się wyczytać czasem jakiś napis na szyldzie. Nie dziw więc, że żadne z dzieci nic nie umiało, i że Nora rosnąc w takim otoczeniu, także niczego nauczyć się nie mogła. A jednak była pewna różnica pomiędzy nią a jej przybranem rodzeństwem; te dzieci nigdy o niczem nie myślały, ona zastanawiała się czasem nad różnemi rzeczami. Przypominała sobie, że dawno, dawno temu, matka opowiadała jej o Bogu, mówiła o Jego dobroci

i miłości ku ludziom i uczyła słów pacierza. Nora nie prawie z opowiadań tych nie pamiętała, ale dlatego zapewne przychodziły jej nieraz różne myśli, których bracia jej i siostry zrozumieć nie mogli. Zobaczywszy przez okno książki leżące w sklepie, przyglądała im się ciekawie i mawiała, że chciałyby bardzo umieć czytać.

— Na co ci się to zda? — pytały ją wtedy dzieci.

Nora nie umiała wprawdzie odpowiedzieć na to pytanie, ale z każdym dniem goręcej pragnęła nauczyć się czegoś i dawne rozmowy z matką coraz żywiej stawały jej w pamięci.

Dziewczynka ucieszyła się bardzo usłyszawszy, że przez cały dzień będzie jechała z ciotką. Była to dla niej przyjemna niespodzianka.

Gdy Czarny Tomek zaprzął konie, Nora wdrapała się na wóz, nie zapomniawszy zabrać z sobą Perelki. Obok niej usiadła ciotka, trzymając na kolanach najmłodsze dziecko. Stare, chude koniska wlokły się wolno, noga za nogą. Dziecko ukołysane ruchem wozu zasnęło, a wtedy matka ułożyła je przy sobie na starej wełnianej kołdrze.

— Wyśpi się w dzień i potem w nocy znowu mi spać nie da — rzekła z westchnieniem.

— Ciotko, kto jest Jezus Chrystus? — nagle spytała Nora.

Ciotka spojrzała na nią ze zdziwieniem.

— Zkąd ci przyszło na myśl takie pytanie? — spytała. — Mój Boże! dawniej nieraz w szkole opowiadano mi o Nim. Chodziłyśmy razem z twoją matką do nauczycielki mieszkającej w sąsiedniej wsi... Potem rodzice umarli, przestałyśmy się uczyć i teraz wszystkiego już zapomniałam. Nawet gdybym miała książkę, nie potrafiłabym jej przeczytać — mowiała ze smutkiem biedna kobieta i znów się zakaszła.

— Ale kto to jest Jezus Chrystus? — dopytywała Nora.

— To Syn Boży, który zstąpił na ziemię i umarł za nasze grzechy — mowiała ciotka przypominając sobie naukę katechizmu. — Powinniśmy Go kochać i modlić się do Niego. Chciałabym powiedzieć ci więcej, moje dziecko, ale sama nie pamiętam.

— Wiem! wiem! — zawołała Nora — przypomnam sobie. Pan Jezus dał się ukrzyżować za nas. Mama czytała mi to z książki. Czy ciocia nie ma tej książki?

— Nie, moje dziecko, gdybym nawet ją miała, nie dowiedziałabyś się więcej. Zapomniałam już czytać, a wuj twój wcale nie zna liter. A ty, czy umiesz czytać? — Nora?

— Nie umiem. Zaczęłam się uczyć ale mama umarła. Znałam już wszystkie litery, a teraz zapomniałam zupełnie. Co cioci się stało? — krzyknęła z trwogą widząc, że ciotka pochyliła się śmiertelnie blada.

— Chora jestem — słabym głosem szepnęła biedna kobieta. — Czuję się codzień słabszą... Pewnie niedługo już pożyję... Umrę tak jak twoja matka. Mój Boże! co się stanie wtedy z biednymi sierotami? — mowiała z płaczem.

Nora rozplakała się także. Teraz nie śmiała już o nic pytać ciotki, która leżała z zamkniętymi oczyma.

— Pamiętam doskonale — mowiała do siebie dziewczynka — jak mama mowiała, że Pan Jezus nas kocha... Może On nas poratuje?... Ale jakże nas poratuje, kiedy sam umarł? Co się z nami stanie?

## IX.

### PEREŁKA W RODZINIE CYGAŃSKIEJ.

Perelka nie była nieszczęśliwą u swoich nowych przyjaciół. Wprawdzie młodsze dzieci dokuczwały jej czasami tak samo jak dawniej Tadzio i Rózia, ale Nora nie zapomniwała o niej nigdy, jak dawniej Helenka i broniła ją zawsze od młodszych swawolników.

Perelka sypiała pod wozem z Norą, która w chłodniejsze noce okrywała ją własną spodniczką a rano dzieliła się z nią śniadaniem.

Z całej rodziny Perelka z początku bała się jedynie tylko istoty a mianowicie Medora, dużego brytana, który w nocy pilnował całego dobytku, podczas gdy wszyscy spali.

Pocziwe to było i wierne psisko. Przywiązany do swego pana i do wszystkich dzieci, nie gniewał się na nie nigdy, choć czasami mu się sprzeciwiały i gotów był zawsze rzucić się na każdego, kto by chciał wyrządzić im krzywdę. Z początku Perelka jeżyła się i parskła z gniewu, ile razy Medor zbliżył się do niej. Dzieci śmiały się nieraz do rozpuku, widząc jak mała kotka zuchwale zaczepiała olbrzymiego swego przeciwnika, który nie raczył się bronić, tylko podchodził coraz bliżej, bliżej, ona zaś cofała się w śmiertelnym strachu, choć starała się okazać odważną.

Powoli jednak przekonała się, że Medor nie ma żadnych złych zamiarów i po kilku tygodniach zaprzyjaźniła się z nim. Teraz dzieci miały nową uciechę: kotka wskakiwała na śpiącego spokojnie Medora, przewracała koziołki na jego grzbiecie, albo łapała go za ogon. Medor widocznie nie gniewał się o to, bo obudziwszy się, odwracał się, spoglądał na nią jak gdyby chciał powiedzieć: „Cóż to za nowe figle?” i znów zamykał oczy.

Zmęczony się skakaniem, Perelka usypiała zwykle z główką opartą na szyi Medora.

Cyganie nasi jechali wolno, bardzo wolno, bo matka czuła się coraz słabszą i nie mogła znieść trzęsienia wozu. Czasami jechali godzinę tylko a przez resztę dnia musieli odpoczywać. Czarny Tomek przeklinał chorobę żony i mrucał z gniewem, że pewnie przed Bożem Narodzeniem nie dowloką się na zimę do miasta.

Wszystkie koszyki były już wyprzedane, trzeba było pomyśleć o przygotowaniu nowego zapasu. Rodzina Tomka osiedlała się zwykle na zimę w jakimś mieście: sprzedawano konie, aby nie potrzebować ich żywić, najmowano nędzną izdebkę. Ojciec z pomocą starszych córek robił koszyki a młodsze dzieci sprzedawały je w mieście.

Nora także czekała z niecierpliwością przybycia do miasta, bo ciotka obiecała jej, że przez całą zimę będzie chodziła do szkoły. Dziewczynka nie posiadała się z radości, co wieczór wyglądała dnia następnego i marzyła się tem, że podróż przewleka się tak długo.

Nikt nie podzielał jej radości: Tumry wyśmiewał się z niej a starsze dziewczęta pytały, wzruszając ramionami:

— Cóż ci przyjdzie z tej nauki? Pójdiesz parę razy do szkoły a potem ci się odechce.

Nora nic na to nie odpowiadała, uciekała tylko do ciotki i spowiadała jej się ze swoich pragnień i nadziei. Przytem lubiła ona słuchać jak ciotka opowiadała jej o swoim dzieciństwie: jak obie z siostrą żyły szczęśliwe w ubogiej chatce rodziców, jak co rano wzięwszy się za ręce biegły przez pole i łąkę do szkoły, gdzie jedna dobra i rozumna pani opowiadała im dużo ciekawych rzeczy. Ale niewiele się tam nauczyły.

— Twoja matka słuchała bardzo uważnie, ale ja nieraz bawiłam się pod ławką — mówiła chora kobieta — i dlatego teraz nic nie umiem. Zdaje mi się, że może przypomniałabym sobie litery, gdybym miała książkę. Dotąd nigdy o to nie dbałam a wuj twój powiada, że szkoda pieniędzy na książki.

Następnie opowiadała siostrzenicy, że ludzie we wsi zaczęli chorować na jakąś gorączkę, że rodzice ich zachorowali także i umarli a one zostały sierotami. Nie chcąc umierać z głodu, poszły w służbę i wtedy poraz pierwszy musiały rozłączyć się z sobą. Ach! smutne to były czasy! Trzeba było pracować dla obcych, którzy nieraz nie powiedzieli pocziwego słowa.

— Mając lat ośmnaście, poszłam za mąż — kończyła ciotka. — Włóczyliśmy się po całym kraju, aż w kilka lat potem przejeżdżając koło naszej rodzinnej wioski, dowiedziałam się, że i twoja matka wyszła za mąż i że teraz leży bardzo chora. Zaraz też do niej pobiegłam. Biedaczce ciężko było umierać zostawiając cię samą, bo i ojciec twój wtedy już nie żył. Poznała mnie i prosiła ze łzami w oczach, abym cię wychowała na dobrą i uczciwą kobietę. Nie dotrzymałam słowa — mówiła ze łzami — zmarnujesz się tutaj tak samo jak i moje biedne dzieciaki.

— O nie! — z płaczem zawołała Nora, przyciskając do ust rękę chorej kobiety — ciocia była dla mnie zawsze bardzo dobra!... Ja nie chcę żeby ciocia umarła! Jak tylko przyjedziemy do jakiej wsi, pójdę i przyprowadzę... Nie wiem jak się taki pan nazywa... pamiętam tylko, że przychodził do mamy, kiedy była bardzo chora. Miał na sobie długą czarną suknię i czytał coś z książki...

(d. c. n.)

## ZABAWA W CIENIE.

Zabawa ta urządza się w taki sposób: przed ścianą zakrytą białym obrusem, zasiada w krzesło osoba grę rozpoczynająca. Zagasić trzeba wszystkie światła, zostawiwszy tylko po za siedzącą w pewnem oddaleniu lampę, bez przyciemniającej ją osłony. Osoby składające resztę towarzystwa przechodzą wtedy zwolna poza plecyma siedzącej, której odwrócić się niewolno. Z cie-

niów rysujących się przed nią na ścianie ma ona odgadnąć, kto przechodzi? Jeżeli się omyli daje fant, pierwszy zaś, lub pierwsza którą pozna, zabiera jej miejsce. Wolno przechodzącym nadymać policzki, zniżać lub podnosić głowę, wykonywać różne podskoki i t. p. niewolno wszakże zmieniać na inne, noszonego wpierw ubrania.

### ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Zielona Gałązka.

Z następujących sylab: Lan — in — ma — jo — ar — go — ha — dio — a — jo — dy — ge — kay — gos — kles — le — land — ko — ułożyć wyrazy: 1. Piękny barwnik roślinny. 2. Wyspa duńska na wielkim Bełcie. 3. Współczesny węgierski powieściopisarz. 4. Nazwa człowieka o 100 oczach. 5. Sławny matematyk grecki. 6. Nazwa piwa angielskiego. 7. Japońskie portowe miasto.

Początkowe i końcowe litery tych wyrazów czytane z góry na dół utworzą nazwy dwóch słynnych w starożytności poematów.

### ZAGADKA.

W każdej kropli morskiej wody,  
W łonie ziemi też spoczywa,  
A nad wszystkie słodkie gody  
Człek jej pragnie i używa.

### Rebusik.

100, 100, nowienie pra - wy.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 47-go.

Rebusu: Co z oczu, to z myśli.

Zagadki: P a m i ę ć.

Łamigłówki kwadratowej:

1. G ł a g o l i c a
2. K u k u c h o t a
3. T r a p e z u n t
4. O z o n o m e t r
5. K a r t a g i n a
6. A t a s c h k i a
7. I k a n a m a w i
8. D z i e w a n n a
9. E j s z y s z k i